ROK CZWARTY.

№ 49.

WARSZAWA

D. 22 listopada (4 grudnia)

1859.

Niedziela

2ga Adwentu.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie; lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wzbudź Panie! serca nasze dla przygotowania dróg Jednorodzonemu synowi twemu, iżbyśmy przez jego przyjście zasługiwali zawsze służyć w czystości duszy Temu, który z Tobą żyje i króluje. (Kollekta na Niedzielę 2gą Adwentu.)

Oświadczyny.

Powiedzcie tatulu,
Co wy do mnie macie,
Że za mnie Marynki
Wydać się wzbraniacie?

Przeciem parobeczek
Młody, a nie krzywy;
Na krakowskiej ziemi
Nie rosną pokrzywy!

To cóż, że chudoby
Nie mam, żem ubogi;
Niebieski gospodarz
Łączy z cierniem głogi.

Mam ręce nie z nici,
Głowę nie z parady,
Mógłbym zapracować
Dla całej gromady!

Bóg dał dzień do pracy
A nockę do spania,
Starość do pacierzy,
Młodość do kochania.

Liście z wiatrem lecą,
Wrona smutnie kracze,
A w waszej komorze,
Za mną Maryś płacze.

Nie chcecie, nie dajcie,
Toć się nie zabiję;
Wierzba choć złamana,
Jeszcze jakoś żyje.

Za bory za lasy
Pójdę sfrasowany,

Przystanę do wojska,
Będę bił pogany.

—

Miną dnie i lata,
Dużo wody spłynie,
Mnie tam może pierwsza
Kula nie ominie...

—

Może wrócę z wojny
Bez ręki, bez nogi,
A wam na sumieniu
Będzie ciężar srogi!..

—

Toć tatulu! folgę
Swemu sercu dajcie,
I za mnie Marynki
Wydać nie wzbraniajcie.

Kącik dla gościa.

—

Pan Michał miał lat siedmdziesiąt i maleńką izdebkę na Starem-mieście pod strychem. Słabe, stargane siły nie pozwoliły mu już pracować; a że wierna, długa w jednym domu bogatych państwa służba zapewniła mu niewielki fundusik do śmierci, żył więc spokojnie, uczciwie, choć ubogo. W izdebce starego sługi było łóżko, święty obrazek, skrzynka, srebrny zegarek na ścianie, doniczka lewkonii na oknie, na doniczce do nabożeństwa książka, okulary, książka służbowa pełna zaszczytnych świadectw, i karta wolnego pobytu w Warszawie, dokąd się Michał po śmierci dawnych państwa wyprowadził. Na ziemi leżało drugie posłanie, takie samo jak to, które zaściełało łóżko, i drugi obrazek nad niem wisiał, jak gdyby w tej izbie dwie osoby mieszkały. Waciarka, sąsiadka Michała wstrząsnęła nieraz głową, mówiąc:

— Oj! stary, mieszkasz sam w jednej izbie, niby pan jaki; nie mógłbyś to przybrać komornika: połowa komornego wróciłaby ci się na uczciwszy obiad, i nie takby ci było ciężko.

— Hm... mruczał stary, komornika... toć go mam, nie widzisz drugiego posłania na ziemi? Za żadne skarby nie oddałbym tego kąta izby, który już dawno odnająłem Bóg wie komu... zobaczycie przecież nieraz mego gościa.

Waciarka wzruszywszy głową, schodziła do Janowej, stojącej przed sienią ze śliwkami i mówiła jej, że pan Michał ma jakieś dawne zmartwienie, że gada czasem od rzeczy, i że jak ludzie mówią, dręczy go tęsknota za bratem, który w dzieciństwie jeszcze zginął i którego on się ciągle spodziewa.

Michał tymczasem wziął z kąta izby kij gruby, książkę do nabożeństwa, okulary, i zamknąwszy drzwi na klucz, schodził wolno po schodach na zwykłą dzienną pielgrzymkę. Życie jego płynęło jednostajnie: słuchał mszy świętej u Fary w kaplicy Pana Jezusa, włóczył się po mieście, spoczywał w Krasińskich ogrodzie, jadł u Bogumiły pod pompą i znów do nocy krążył po ulicach, obznajmiając się coraz lepiej z nędzą uliczną, mieszając się z nią niekiedy i wspomagając nieraz. Rzadko Michał wracał do swojej izdebki bez pięknego wspomnienia dobrego uczynku, które rozjaśniało jego twarz wyżółkłą, w serce kładło wesele, a na usta uśmiech i miłe powitanie dla waciarki.

— Musiał ktoś waszeci podarować ze sto tysięcy, mówiła sąsiadka, spotkawszy go w takiem usposobieniu na schodach; wyglądasz jak człowiek najszczęśliwszy z całego Starego-miasta.

— Może i tak, odpowiadał stary, kręcąc kluczem w zardzewiałym zamku; może i podarował, dodawał, zamykając drzwi za sobą.

Otóż tego dnia jak zwykle Michał klęknął w kaplicy Pana Jezusa i patrzył w czarne pukle świętych włosów, objętych djamentową koroną, odmawiając swój pacierz na klęczkach; a gdy zadzwoniono na ósmą, włożył książkę w kieszeń i przeżegnawszy się, wyszedł na miasto. Wszystko było już w ruchu, gwar starego rynku mieszał się z łoskotem powozów zajeżdżających przed zamek. Praca szła w sklepach i na warsztatach: tracze rąbią drzewo przed domami, bednarz pobija statki, woziwoda spieszy z beczką do wodociągu, księża śpiewają, dzwonią dzwony, a stary idzie i duma, jak to życie zbiorowe ludu zawsze jest młode: zawsze kują żelazo, orzą ziemię, pracują, śpiewają i dążą śród głosu dzwonów, błogosławiących trudom; gdy tymczasem życie jego pojedyńcze już postarzało, już nie promienieje potęgą ziemi, i tylko głos dzwonów pogrzebowych obiecuje mu

przyszłość z drugiej strony grobu. Dnie takiego starca schodzą w spokojnym pomroku; codzienne pielgrzymki na miasto, do którego przyrósł, mają uroczystość pożegnań: wszystkiemu się przypatruje, wszystko ogląda. Oto właśnie Michał stanął przy nowo zbudowanym wodotrysku, otaczającym kolumnę Zygmuntowską zdrojami wiślanej wody, i znów skręcił w małą uliczkę, gdzie Lajzer utrzymujący szynk na rogu spaja przyjeżdżających na targ wieśniaków.

Słychać stuk młotka i śmiechy gawiedzi, gromadka zebrała się przed szynkiem; tylko blady żebrak oparty o mur nie miesza się z gromadą, nogi ma bose, a wódki nie ma pić za co. Michał dał mu mały pieniążek i idzie dalej.

Południe nadchodzi; pod pompą na Starem mieście Bogumiła nalewa barszcz na miseczki, a drwale i wieśniacy płacą po trzy grosze. Michał przyszedł także po swoję porcyą, zjadłszy ją i pożartowawszy z Bogumiłą, zajętą częstowaniem biesiadników, postrzegł bosego żebraka, który znów stał pod murem, biesiadując milczeniem i głodem. Spotkały się ich wejrzenia; lecz Michał nie był tak bogatym, aby mógł dawać dwa razy dziennie jałmużnę— poszedł więc spocząć do Saskiego ogrodu.

Czas był piękny; w ubocznej alei usnął stary na ławce i przespał do piątej godziny. Tłumy warszawian zaczęły się schodzić do ogrodu; stary więc powstał z ławki, poczęstował tabaką drzemiącego obok sąsiada, i powlókł się zwolna do domu. Wieczór nadchodził; na zakręcie ulicy bosy żebrak prosił o jałmużnę.

Dawny sługa popatrzył i rzekł:

— Przyjacielu! trzy razy dzisiaj twoję twarz spotkałem; sam Bóg widać chce, abym ci dopomógł.

— Panie, odrzekł żebrak, spotkałeś mnie przed szynkiem, na targu i przed cukiernią; w te miejsca, w których niegdyś trwoniłem pieniądze, przychodzę o nie prosić.

— Nie pytam o twoję przeszłość, musi być straszną, kiedy cię przywiodła do łachmanów. Pójdź raczej zemną — jestem biedny, lecz bogatszy od ciebie. W mojej izbie jest zawsze siennik dla spoczynku nędzarza i stołek i drugi kawałek chleba. Bądź zawsze moim gościem, zapomnij na tę noc, że nie masz swojego dachu.

Bosy żebrak uradowany, wzruszony postępował zwolna obok starego i w milczeniu zaszli oba na Stare-miasto —waciarka była właśnie na schodach.

— Sąsiadko, powiedział Michał, wskazując ubogiego, patrzaj, oto mój komornik; takim ja kątek w mojej izbie raz nazawsze wypuściłem...

Waciarka spojrzała na przybysza i rzekła:

— A cóż ci jego gościna przyniesie, czemże ci zapłaci?

— Zapłaci mi niebieską w sercu pociechą i westchnieniem do Boga.

Stara nie śminła nic odrzec... i wnet sąsiedzi rozeszli się po swoich izdebkach.

* * *

Michał zapalił świecę i uczęstował gościa; chleb i mleko były ich pożywieniem, szczere wyznania i rozmowa, rozrywką.

Żebrak rozpoczął pierwszy w te słowa:

— Dobrych rodziców dzieci nie zawsze są dobre; i jam miał poczciwego ojca, jednak go słuchać nie umiałem. Matka umarła mi wcześnie, starszy brat długo płakał po niej, i to jednostajne napomnienie ojca: dzieci! nie śmućcie cieniów nieboszki matki, wystarczało, aby go sprowadzić na drogę cnoty i pracy... Dla mnie te słowa nie miały równej siły; młodszy, roztrzepany kochałem tylko rówiennika mego Wojtka, z nim dzieliłem zabawy, wady i występki; ta wspólność wywarła wpływ na całe moje życie.

Ojciec, marszałek w starym dworze bogatych państwa, uczył mnie służby przy pokojach i bronił stosunków z Wojtkiem kuchcikiem; rozsądne jego oko wcześnie dostrzegło w nim złe skłonności i chciało syna ocalić od nich. Usiłowania jego spełzły na niczem; wykradałem się z pokoju do kuchni, obracaliśmy razem pieczeń, czernili się węglem w kominie i wybiegali do bliskiego miasteczka. Ojciec bolał i karał mnie bez ustanku, Wojtek także miał surowego ojca; porozumieliśmy się wzajemnie i nazajutrz już nas we wsi nie było.

Odwracam oczy od wspomnienia żalu i tęsknoty ojcowskiej; niech mi Bóg przebaczy

łzy, jakie mu wycisnąłem, i niech mu łaskawie da niebo; podobno dawno nie żyje! Wspomnę tylko o długich latach mojej lokajskiej służby, której szukałem zawsze w bliskości Wojtka, i za jego natchnieniem i pomocą wspólnie oszukiwaliśmy naszych panów. Gdyby nie Wojtek, byłbym był uczciwym; zły los postawił go na mojej drodze, a byłem zbyt słaby, żeby się jemu oprzeć.

Pamiętaj, mówił mi nieraz ojciec, że z jakim się wdawasz, takim się stawasz... Wojtek ściągał rękę do cudzych rzeczy, pamiętaj, żebyś się i ty kiedy podobnie nie splamił.

Ja jednak tego nie pamiętałem. Towarzysz mój był wesoły, umiał mnie zająć, wynaleść zabawę, pochlebić złym skłonnościom, usunąć skrupuły; w takiem towarzystwie łatwo zajść do piekła. I ja już byłem u drzwi jego, gdy nagle Bóg sprawiedliwy spuścił niedolę, i tą niedolą mnie ocalił! Ta sama ręka, co mnie wiodła do złego, miała zostać narzędziem bożej kary i upamiętania. Wojtek i ja z każdym rokiem upadaliśmy moralnie i fizycznie; on jako gorszy sponiewierał się pierwej i już go ledwie do rąbania drzewa przyjmowano, ja służyłem jeszcze lokajsko. Jednego dnia Wojtek przyszedł z traczami do mego państwa spiłować drzewo; byłem właśnie na dziedzińcu. Dawny mój towarzysz miał oczy zaczerwienione, ręce drżące od pijaństwa, a wspólnicy jego przykremi słowy naganiali go do roboty.

Spojrzałem na niego, żal mi się zrobiło; Wojtek zwrócił się do mnie i rzekł:

— Macieju! ciągniesz dłużej odemnie; jeszcze ci się porządna suknia trzyma na plecach, a mnie już siekiera wypada z ręki.

— Czekaj, pomogę ci trochę, rzekłem, biorąc siekierę z dziwnem pomieszaniem żalu i trwogi, jakby ta chwila była przygotowaniem do odebrania kary i rozpoczęcia poprawy... Trzymając jedną ręką kawałek drzewa, a w drugiej siekierę, chciałem go rozłupać; uderzyłem, ale niewprawne a silne spuszczenie siekiery odcięło mi palce u ręki.

Wszyscy krzyknęli, ja tylko niemy leżałem na ziemi. Późno oddano mnie do szpitala, gdzie z powodu rozwiniętej gangreny dla zaniedbania kuracyi, odjęto mi dwa palce, i wyszedłem na żebraka. Wkrótce spotkał mnie Wojtek pod murem.

— Ty dłużej ciągniesz odemnie, rzekłem doń smutnie, bo ci się jeszcze ręce trzymają.

— Tak, odparł drwal, lecz tobie teraz lekko grosz przychodzi; nie pracując, dostajesz... Spojrzałem na niego boleśnie, i wysypawszy mu z płachty kilka użebranych półgroszków,

— Patrz, powiedziałem, znasz tę monetę nędzy? Na każdy jej grosz trzeba dwa razy rękę wyciągnąć, dwa razy przypomnieć sobie wstyd i niedolę.

Tracz wstrząsnął głową i odszedł, a ja wzniosłem oczy w niebo, dziękując Bogu, że mi dał żal za przeszłe winy, karę i pokutę, i żem się do reszty nie sponiewierał, jak ten człowiek, który mi dziś zazdrościł jałmużny.

Gospodarz zalany łzami, pomieszany histोryą swego gościa, ledwie wyjąkał te słowa:

— I mnie spotkałoby toż samo, gdyby nie nauki ojca, który mi codzień powtarzał: Michale, kochaj cnotę nad wszystko na świecie!

— Michale? przerwał żebrak... jak słodkiem wspomnieniem, a jak gorzkim wyrzutem brzmi dla mnie to imię... miałem brata Michała, który był dobry, a ja!..

Stary sługa pobladł, spojrzał uważnie w twarz żebraka i wyrzekł stłumionym głosem:

— Ja jestem Michał Dębczak.

— Bracie mój! wykrzyknął gość, rzucając się w objęcia gospodarza; po chwili jednak cofnął się i wyjąkał:

— Ale ty lękasz się pewnie moich łachmanów?

Michał otarł oczy i rzekł:

— Lękam się tylko występków; lecz kiedy za nie odpokutowałeś, pojdź w moje objęcia, okryj się moją suknią, pożywaj mój chleb.

I dwaj bracia znów się uścisnęli zalani łzami. Skoro nazajutrz rozeszła się po kamieniczce wieść, że Michał znalazł brata w żebraku, którego pod dach swój sprowadził, zlecieli się mieszkańcy, witając przybysza i winszując sąsiadowi:

— Co za szczęście, mówiła Janowa, że waszeć nie pominął tego ubogiego, lecz podał mu rękę, nie spodziewając się, kogo w nim odzyska.

— Sąsiadko, odrzekł poważnie Michał, nie pomijajmy żadnego ubogiego, żadnego żebraka. Przyjdzie godzina sądu; i w niej to z

boleścią, z wyrzutem dowiemy się, że każdy z nich był naszym bratem...

— Ma słuszność, powtórzyli wszyscy, a waciarka wyrzekła:

— Otóż ślicznie się przydał wolny kącik w izbie!

Godziny po robocie.

X.

Wpośród gromady zebranej dziś przed domkiem pana Dorosza było gwarno i wesoło; fabryka bowiem, która przez 2 miesiące prawie była zamkniętą, za tydzień miała być nanowo otwartą. Śmiechy i żarciki nadawały ogólnej rozmowie więcej niezwykłego życia, kiedy właśnie gospodarz ukazał się pomiędzy zebranymi. Po powitaniu swych gości, zaczął do nich mówić w dalszym ciągu przeszłej pogadanki:

— Moi przyjaciele, wytłumaczyłem wam już, że praca, albo trudy, jakie podjąć należy do wyrobienia lub otrzymania jakiej rzeczy, jest podstawą jej wartości.

— A tak, a tak, to już dobrze pamiętamy, odezwano się gromadnie.

— To dobrze; ale praca sama nie jest stałą ani jedyną miarą wartości; naprzykład: zboże jest produktem, którego otrzymanie zawsze dużo pracy kosztuje, a jednak ceny jego zmieniają się bardzo często. Podobnież różne materye drogie, żelazo, wymagają zawsze jednakowej pracy, a nieraz taniej się sprzedają.

— A czemże się to dzieje? zapytał się Klepacz kowal.

— Tem mój kochany, mówił dalej Dorosz, że wartość rzeczy, zależąca od rodzaju użytej na jej otrzymanie pracy, zmienia się również podług różnych okoliczności innych, a najbardziej podług położenia tego, który jej potrzebuje, względem tego, który ją posiada i zbyć chce, *czyli zmienia się w stosunku ofiary do żądania.*

— Jak to się ma rozumieć W. doktorze? zapytał Bonek gospodarz rolny; ja tego przyznam się, nie pojmuję wcale.

— Oto tak: kiedy jaki kupiec albo rzemieślnik szuka kupca na swój towar albo wyrób, to się zowie, iż on *ofiaruje* swój towar. *Ofiaruje* on go wtedy, kiedy mówi: chcesz kupić? Gdy zaś kupujący przychodzi i mówi: Czy masz na sprzedaż, lub czy możesz mi sprzedać? to wtedy się mówi, iż towar jest *żądanym.*

— A! to, to rozumiemy dokładnie, przerwał Grzegórz wyrobnik; ale w tem wszystkiem jest tylko mowa o sprzedających, to jednak nie dotyczy robotników i pracy.

— Zaraz, zaraz mój Grzegorzu. Nie trzeba się tak bardzo przywiązywać do słowa; *sprzedający* i *kupujący.* Wszakże wam już wytłumaczyłem, że i praca jest towarem. Gdy więc robotnik przychodzi do fabryki lub jakiej innej pracowni i chce dostać dla siebie zatrudnienie, to on *ofiaruje* swoję pracę; a kiedy właściciel fabryki lub majster jaki mówi, iż on potrzebuje jego rąk, to *żąda* roboty. A zatem znowu jest tu z jednej strony *ofiara*, a z drugiej *żądanie.*

— To i cóż z tego, odezwał się Szlej, to jeszcze nie wyjaśnia nam, od czego wartość rzeczy się zmienia?

— Posłuchaj tylko. W takim stosunku sprzedającego do kupującego, robotnika do potrzebującego roboty może być 3 przypadki; to jest: iż sprzedających jest tyle, co kupujących, lub więcej niż kupujących, albo mniej sprzedawców, a więcej kupców; czyli imbardziej rzecz jaka jest poszukiwaną, tem jest droższą, i naodwrót. Jeżeli na ten przykład przyjedzie na targ 50 takich, co mają sto korcy do sprzedania, a przybędzie 50 takich, co chcą 200 korcy kupić, to ma się rozumieć, zboże będzie droższe— i przeciwnie. Ale mógłby być i jeden kupujący tylko, kiedyby jednak chciał kupić sam 300 korcy żyta, a byłoby go na całym targu tylko 100, to i takby musiał drożej płacić.

— A ja niedawno byłem na jarmarku, odezwał się Bonek, i wiem, że było żyta dowoli na sprzedaż, a i pies się o nie nie zapytał.

— To też jużem powiedział, że może być więcej rzeczy na sprzedaż, a mniej pokupu na nią, jakeś mi to teraz dobrze sam wytłumaczył.

— To tym sposobem, proszę W. dziedzica, wtrącił Grzegórz wyrobnik, zboże, albo towar jaki może spadać bez końca w cenie swojej, i do czegóż to nareszcie przyjdzie?

— Nie, mój kochany. Opatrzność czuwa nad wszystkiem. Takie przesilenia cen mogą trwać tylko czasowo. Kto np. nakupił za tanich cen żyta na chleb, to je z czasem i spotrzebuje, i jest zmuszony kupić znowu zboża; ponieważ zaś wielu ludzi jest w podobnym przypadku, kupno się znowu ożywia i ceny przychodzą do dawnej wysokości.

— A toby *się* mogło stać, odezwał się Szlej, iż konsumpcya, czyli spotrzebowanie byłoby większe nawet niż dawniej.

— Niezawodnie, zdarza się i to. Ilość zużywanego chleba tylko jest prawie zawsze jednakową, bo on jest podstawą życia naszego. Wszystkie inne są zmiennemi. Bo kiedy np. cena cukru lub jakiego towaru stanieje, to niejeden, coby sobie go za droższych cen musiał lub chciał odmówić, kupuje go teraz, lub używa więcej niż zwykle, nabiera przyzwyczajenia, i potem mimo wyższej ceny, kupuje, podnosząc przez to wartość tego towaru, lub wyrobu.

— To może być znowu wypadek, odezwał się Szlej, że ceny tak wzrosną, iż się niczego dokupić niepodobna.

— A tak. Ale i tu Opatrzność zakreśliła granice. Jeżeli jednemu się powodzi na jakim handlu, i z powodu wielkiej liczby potrzebujących, a małej sprzedających dorabia się ogromnych pieniędzy, inny kupiec lub rzemieślnik, albo kilku razem, zwabieni tak dobrym handlem, przybywają z towarami lub wyrobami tej samej natury, równie dobremi, a może i lepszemi od tamtego, i tym sposobem wpływają na obniżenie cen targowych. To się nazywa współzawodnictwem czyli *konkurrencyą*, która zapobiega złemu, a o której już wam dawniej mówiłem.

— O! jakież to widoczne cuda, które Opatrzność Boska sprawia, zawołał Jacenty cieśla, dotąd milczący; stają się one tak prosto i widocznie, a mój mocny Boże! człek tego jak ślepy nie dostrzega.

— Tak, tak moi kochani! Pełno na tym świecie cudów Boskich, na niebie, na ziemi, między ludzmi; a im się więc uczymy i pojmujemy te prawa Przedwiecznej mądrości, rozlane jak wszędzie i w urządzeniu społeczeństw ludzkich. tem więcej same prawa podziwiać, a Sprawcę ich uwielbiać musimy!

Sokołów

miasteczko na Podlasiu.

—

Na rozległych równinach Podlasia, cztery mile od miasta Siedlec niegdyś gubernialnego, leży miasteczko okręgowe Sokołów nad małą rzeczką, Letynią zwaną, która płytkiem i wązkiem korytem oblewa południową jego stronę.

Miasteczko to nieduże, ma bowiem domów 315 a mieszkańców cztery tysiące, ale starożytne, gdyż w roku 1424 spotyka się już ono na kartach historyi; w tym bowiem roku niejakiemu Mikołajowi Depeńskiemu sekretarzowi Witolda Xięcia Litewskiego za wierne zasługi dane było w nagrodę z przyległemi wsiami Kupientynem i Rogowem — zatem gdyby starożytność jego liczyć przyszło od roku tej darowizny, Sokołów istniałby już blisko pół pięta wieku, a przecież musiał on już istnieć dawniej.

Za rządów Zygmunta Augusta króla Polskiego, który panował Polsce od roku 1549 do 1572, Sokołów należał do obszernych majątków rodziny Kiszków; był to dom wielkiej zamożności na Litwie, albowiem jeden z tejże rodziny posiadał siedmdziesiąt miast i czterysta wsi.

Następnie był w posiadaniu JO. księcia Bogusława Radziwiłła, koniuszego Wielkiego Księstwa Litewskiego, o czem świadczą przywileje dane miastu przez tegoż księcia.

Z kolei dziedziczył to miasto Jan na Kraśnem Krasiński, podskarbi wielki koronny, Luceński starosta, który przywileje Radziwiłła swego poprzednika potwierdził.

Sokołów był również i w posiadaniu Ignacego Ogińskiego marszałka Wielkiego Księstwa Litewskiego. Żona jego Helena z Ogińskich Ogińska, wojewodzianka Wileńska, wielkiej pobożności i dobroczynności pani, opiekująca się jak matka poddanemi swemi, i mieszkańcom Sokołowa wiele dobrodziejstw świadczyła, jak niosą podania. Zmarła ona w Warszawie.

Roku 1793, dziedziczył go Michał Kleofas Ogiński, ostatni podskarbi Wielkiego Księstwa Litewskiego, mąż znany w historyi.

Potem odziedziczyła Sokołów rodzina Ossolińskich, w dziejach polskich wsławiona majątkiem, dostojeństwy i usługami dla kraju. W przeszłości niezbyt jeszcze odległej całe Podlasie było jej własnością; dziś zapytaj o przeszłość jakiej wsi, lub miasteczka, a napotkasz się z tem imieniem.

Znajdują się dotąd przez zamożną tę rodzinę powznoszone na Podlasiu kościoły i piękne pałace; i ostatnich ślady zaledwie doj rzysz w zaniedbaniu. Wspaniały bowiem gmach zwykle stoi w śród opustoszałego dziedzińca, herby rodziny znajdujące się nad drzwiami pałacowemi, uszkodzone niedbałością i żelazną dłonią czasu. Dawne te szczątki przemawiają dziś wśród grobowej ciszy spokojnego życia rachunkowego dorobkiewicza, lub podupadłego dziedzica. Zostało tylko wspomnienie o dawnej świetności, bogactwie i życiu tego miejsca, a dziś smutnego cmentarzyska pogrzebanej wielkości!

Sokołów w końcu przeszedł w posiadanie rodziny Kobylańskich.

Pozór tego miasteczka jest o wiele lepszy od ubogich mieścin polskich, co to z ubogim kościołkiem, ratuszem walącym się, błotniste mi ulicami, niechlujnem żydowstwem najsmutniejszy obraz ubóstwa przedstawiają. Sokołów ma ratusz murowany obszerny, gdzie się mieszczą sklepy, porządne domki mieszczańskie i żydowskie; kilka pozornych zabudowań murowanych, ulice brukowane, których jest kilka, jako to: pryncypalna Siedlecka, Rogowska, Cerkiewna, Kościelna, Wędrowska, Kupietyńska i t. d.

Ludność miasta składa się z urzędników, emerytów, mieszczan, dziedziców miejskich posiadłości, rzemieślników i żydów. Rzemieślnicy są: garncarze, kuśnierze i szewcy, tych ostalnich wyroby poszukiwane są po sąsiednich jarmarkach.

W miasteczku tem znajdują się dwa kościoły i cerkiew. Kościół parafialny murowany r. 1828, wniesiony na miejscu spalonego, a fundowany przez dawnych dziedziców Kobylańskich, stoi zatem lat 31—obecnie uszkodzony, ma być restaurowany, albowiem grozi niebezpieczeństwem, a o odnowienie tej świątyni stara się gorliwie ze wszech miar zacny i poważany tutejszy proboszcz, ksiądz kanonik Karnicki, dbały wielce o chwałę Boską, i świątynię opiece jego i staraniom powierzoną. Ma wspomniony kościół cztery ołtarze, a wizerunki w nich świętych Pańskich dobrego pędzla. Zwyczaj jest przy tym kościele po zadzwonieniu na *Anioł Pański*, że dzwon świątyni uderza razy dziewięć z małemi przestankami, wzywając lud pobożny do *Zdrowaś Marya* za duszę poległych pod Warną. (1).

Wspomnieć mi tu należy, a raczej przypomnieć wam, iż na cmentarzu przy kościele tym spoczywają zwłoki owego wikarego Jana Czarnockiego, sławnego w mieście i jego okolicach z dobroczynności i pobożnego życia, którym to mówiłam w piśmie tem w roku 1856 w numerach 29 i 44. Grób jego jako już wspomniałam w roku 1856, dotąd ozdabiany bywa kwiatami i pielęgnowany starannie przez wdzięcznych parafian.

Drugi kościołek w Sokołowie jest Sgo Rocha drewniany, na uboczy stojący, sławny z odpustu odprawiającego się na święty Roch, dnia 16 sierpnia, który liczną ludność z okolic zgromadza w tem mieście.

Cerkiew zaś Unicka drewniana, takoż przez Karola i Franciszkę z Wojewódzkich Kobylańskich w roku 1809 dnia 8 marca na miejscu spalonej jest wzniesiona. W niej w wielkim ołtarzu jaśnieje piękny wizerunek Matki-Boskiej cudami słynący, powleczony srebrną sukienką, wartującą 2,000 złotych. Dawniejsza cerkiew ogniem zniszczona, sławną była z ołtarza, przy którym trzech księży razem mogło odprawiać msze święte.

---

(1) Z turkami, którzy zagrażali podbojami swemi państwom chrześciańskim zawarty był pokój w Segedin pod panowaniem Władysława Jagiellończyka na lat 10; utrzymanie jego z obu stron uroczyście poprzysiężone. Gdy turcy do Azyi się odsunęli, Władysław Jagiellończyk za namową i uwolnieniem od przysięgi przez Eugeniusza Papieża podnosi wojnę; ale pod Warną otoczony od turków, mężnie się broniąc, zginął w dwudziestym pierwszym roku życia, a wojska jego poniosły klęskę. Odtąd król ten przezwany został Władysławem *Warneńczykiem*, i ztąd w wielu kościołach zachowuje się zwyczaj dzwonienia na modlitwę za dusze poległych rycerzy na polach Warneńskich, o czem kiedyś w Czytelni wspomniano.

Zaletą mieszkańców Sokołowa jest pobożność; w każdą bowiem niedzielę i święto kościoły bywają przepełnione gorliwie modlącymi się. Dzieło to nauki starań zacnego tutejszego duchowieństwa tak łacińskiego, jako unickiego, spełniającego gorliwie obowiązki pasterskie.

W roku 1581, pod panowaniem Stefana Batorego króla Polskiego, w Sokołowie delegowani miasta Rygi wykonali w styczniu przysięgę na przepisane im w Drohiczynie ustawy, mocą których uznali nad sobą zwierzchność króla Polskiego. Do załatwienia tej czynności użytym był Jan Dymitr Sulikowski sekretarz królewski.

Równie ustanowioną w nim została roku 1764, kadencya czyli odbywanie sądów ziemskich przez dwie niedziele trwająca, dla dogodności obywateli po lewej stronie Bugu mieszkających.

Niegdyś w Sokołowie były fabryki kobierców w guście starożytnym, chustek jedwabnych, pasów, płótna, kapeluszy, drutów; dziś nic tego niema.

W roku 1793 dnia 5 grudnia zwiedził Sokołów Król Polski Stanisław August Poniatowski, wracając z sejmu Grodzieńskiego; dziennik podróży w tych słowach o tej bytności wspomina:

We czwartek dnia 5 grudnia o godzinie czwartej po południu, przybył król do Sokołowa. W mieście tem o ćwierć mili od dworskich rezydencyi odległem, spotkał go podskarbi Wielkiego Księstwa Litewskiego Michał Kleofas Ogiński, dziękując za łaskę, którą mu czyni, racząc zaszczycić dom jego bytnością swoją.

Po przybyciu do dworu i obiedzie rozerwał się król słuchaniem muzyki, przez czternastu małych chłopców od dziewięciu miesięcy do nauki wziętych, dość szczęśliwie na ten czas, i na ich wiek wykonywanej. Śpiewano przytem piosnkę na tę okoliczność w pięknej słów prostocie przygotowaną. Oglądał król potem kobierce, chustki jedwabne, pasy, płótna, kapelusze, druty i t. d. fabryki Sokołowskiej. Nazajutrz kilkanaście familij z Montbeillard (z Francyi) przybyłych, a częścią w lesie Sokołowskim osiadłych, na miejscach przez siebie wybranych, częścią w mieście zamieszkałych, a wybornem stolarstwem, płócien tkaniem bawiących się, prezentowało się Stanisławowi Augustowi, oświadczając radość swoję, że tu szczęśliwą dla siebie znaleźli ojczyznę pod dobrym pełnym ludzkości i sprawiedliwym dziedzicem. Przyjął Król mile te ich oświadczenia, i odprawił wszystkich ucieszonych łaskawie pozwolonym do siebie przystępem i udarowaniem.

Niedaleko od Sokołowa w Elżbietowie jest fabryka cukru, co sprowadza ludność tego miasteczka; również jest blisko i Przezdziatka wioseczka w pięknem położeniu, rezydencya oddawna dziedziców dóbr Sokołowskich.

Prawdy gospodarcze.

Pyt. Czy w gospodarce zawsze tylko starego zwyczaju pilnować, czy się też i czego nowego imać godzi?

Odp. Starego się trzymać, kiedy dobre; nowego się imać, kiedy lepsze. Ludzi na świecie przybywa, ale ziemi nie przybywa; więc trzeba do tego bardzo dochodzić i starania przykładać, żeby ziemia coraz lepiej rodziła, i dobytku coraz więcej przybywało.

Pyt. Kiedy oranie jest dobre?

Odp. Kiedy skiby na głębokość, na szerokość i na prostość składają się jak pod miarę:

Wtedy orce rola rada,
Gdy się równe skiby składa.

Pyt. Kiedy radlenie jest dobre?

Odp. Kiedy cała rola raz około razu radłem się poruszy.

Pyt. Kiedy bronowanie jest dobre?

Odp. Kiedy bryły rozbite, a rola spulchniona, czysta, bez chwastu, niby wypielona.

Pyt. Czy w każdym czasie można w roli robić?

Odp. W mokrej roli nigdy nie robić ani pługiem, ani radłem, ani broną; dlatego starzy uczą:

Kiedy mokre role,
Nie chodź z pługiem w pole.

(*z elementarza dla chłopców wiejskich.*)

W druk. J. Ungra. — Wolnodrukować.— Warszawa d. 16 (28) listopada 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*